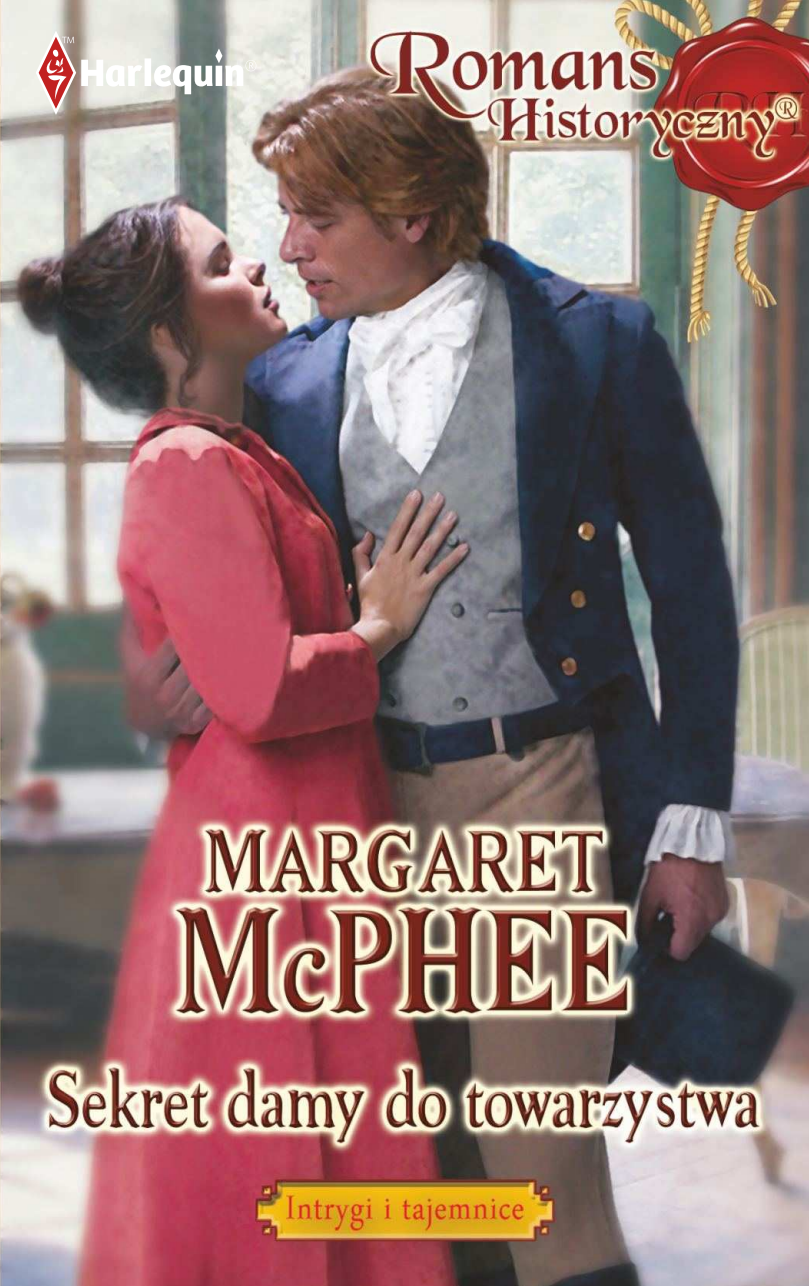




MARGARET  
McPHEE

Sekret damy do towarzystwa

Intrygi i tajemnice

Margaret McPhee

Sekret damy  
do towarzystwa

Tłumaczyła  
Melania Drwęska

Tytuł oryginału: Unlacing the Innocent Miss

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Regency Continuity, 2010

Redaktor serii: Barbara Syczewska-Olszewska

Opracowanie redakcyjne: Zofia Tomza

Korekta: Marianna Chałupczak

© 2010 by Margaret McPhee

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych  
– żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin  
i znak serii Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8475-0

ROMANS HISTORYCZNY – 341

## Prolog

*Maj 1815, Londyn*

Za oknami, w nocnych ciemnościach czekał pies.

Na biurku, w gniazdku uwitym z czarnego sznura, spoczywała brylantowa kolia. Lord Evedon wziął ją i zważył w ręce, spoglądając przy tym na stojącą przed nim kobietę. Klejnoty zamigotały w blasku kandelabrow.

– No i co? – odezwał się w końcu lodowatym tonem. – Co pani na to powie, panno Meadowfield?

Rosalind Meadowfield sprawiała wrażenie kompletnie zdezorientowanej. Nagłe wezwanie do gabinetu lorda Evedona obudziło w jej duszy niepokój, który przerodził się w lęk. Godzina była zbyt późna, a oni byli sami. Poza tym lord Evedon był wyraźnie w złym humorze i pewnie nie bez kozery trzymał w ręku zaginioną kolie swojej matki.

– A więc klejnoty lady Evedon odnalazły się – stwierdziła, nie rozumiejąc, co jeszcze miałyby powiedzieć.

– Istotnie, tak – odparł. W jego spokojnym dotąd głosie zadźwięczały gniewne nuty. – A wie pani, gdzie się odnalazły?

– Nie wiem – odparła zdumiona.

Evedon zmrużył oczy i na moment odwrócił wzrok.

– Kradzież sama w sobie jest przestępstwem, panno

Meadowfield – powiedział zde gustowanym tonem. – Po co te kłamstwa? Niech pani nie pogarsza jeszcze swojej sytuacji.

Rosalind spojrzała na niego, tknięta złym przecuciem. Serce załomotało jej w piersi.

– Przykro mi, ale nic z tego nie rozumiem, milordzie...

– To zaraz pani zrozumie – przerwał jej ze wzburzeniem. – Diamenty znaleziono w pani sypialni, owinięte w pani bieliznę.

– W moją bieliznę? – Ze strachu ścisnęło ją w dołku. – To niemożliwe!

Nie odpowiedział, tylko wciąż patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem. Ta krótka chwila brzemiennej ciszy wystarczyła, by Rosalind zrozumiała, po co została tu wezwana.

– Nie wierzy pan chyba, że mogłabym ukraść kolie lady Evedon? – wykrztusiła słabym głosem. – Nigdy w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła. To musi być jakaś straszliwa pomyłka!

– Nie ma żadnej pomyłki. Graves był przy tym, kiedy znaleziono brylanty w pani sypialni. Zamierza pani kwestionować prawdomówność lokaja, służącego w naszym domu od ponad czterdziestu lat?

– Nie, ale nie potrafię też powiedzieć, jak brylanty znalazły się wśród moich ubrań. – Rosalind splótła kurczowo ręce, nagle złodowaciałe. – Przysięgam, że mówię prawdę.

– A to, co ma oznaczać? – zapytał, podnosząc z biurka sznur, połyskujący jedwabście w blasku świec. Trzymając za jeden koniec, puścił resztę i Rosalind z przerażeniem zobaczyła, że zawiązano na nim pętlę. Z jej ust wyrwał się mimowolny jęk.

– No więc? – Poruszył palcami i pętla zakołysała się lekko.

– Nigdy w życiu nie widziałam tego sznura. Nie wiem, skąd się tu wziął. – Serce waliło jej jak młotem. W jednej chwili cała przeszłość stanęła jej przed oczami; wszystko, co z takim trudem starała się ukryć.

Evedon prychnął z niedowierzaniem.

– Ostrzegalem matkę, żeby nie przyjmowała dziewczyny bez żadnych referencji, ale lady Evedon to zbyt dobra i ufna istota. Co jeszcze ukradła jej pani przez te wszystkie lata, będąc jej damą do towarzystwa? Różne drobiazgi, których braku nikt nie zauważył? A teraz, kiedy wiek nadwąttił umysł mojej czcigodnej matki, rozzuchwiała się pani i postanowiła to wykorzystać?

– Kategorycznie zaprzeczam! Ja...

– Panno Meadowfield, nie chcę tego słuchać. – Evedon nie pozwolił jej dokończyć. – Wyszło sztydło z worka: jest pani kłamczuchą i złodziejką!

Rosalind zrobiła się purpurowa i jeszcze mocniej splótła ręce, aby ukryć ich drżenie.

– Brylanty się znalazły, dzięki Bogu – ciągnął dalej – ale jeśli chodzi o szmaragdy, mieliśmy mniej szczęścia. Może więc ma pani w sobie choć tyle przyzwoitości, żeby się przyznać, gdzie je pani ukryła?

Patrzyła na niego w osłupieniu, zbyt wstrząśnięta, aby zebrać myśli.

– Mówiłam już, że ich nie mam...

– Więc już je pani sprzedała? – Jedwabny sznur przeslizgnął się pomiędzy rozpostartymi palcami i spadł na biurko. Rzeźbione nogi fotela zazgrzytały na wyfroterowanej posadzce. Evedon schował kolię do kieszeni i wstał zza biurka.

– Oczywiście, że nie! – Cofnęła się instynktownie, tylko o krok, ale to wystarczyło, aby powiększyć dzielący ich dystans. – Nie wzięłam niczego, co należy do lady Evedon.

– Wątpię, by miała pani dosyć czasu na pozbycie się szmaragdów. A ponieważ z całą pewnością nie ma ich w pani pokoju, to gdzie je pani ukryła? – Obszedł biurko i stanął przed nią, patrząc na nią z góry.

– Nie jestem złodziejką – wyszeptwała, bo zaschło jej w gardle. – Zaszło jakieś straszliwe nieporozumienie.

Evedon był jednak niewzruszony

– Niech pani opróżni kieszenie, panno Meadowfield.

Wytrzeszczyła oczy, serce tłukło jej się jak oszalałe. To nie mogła być prawda, to jakiś koszmar!

– Powiedziałem, proszę opróżnić kieszenie – powtórzył, akcentując wyraźnie każde słowo, jakby zwracał się do półgłówka.

Ręce jej się trzęsły i policzki pały, kiedy wyjmowała chusteczkę do nosa, a potem wyrzuciła kieszeń na drugą stronę, na dowód, że jest pusta.

– A inne?

– Nie mam innych kieszeni.

– Nie wierzę, panno Meadowfield. – Polana trzasnęły w kominku. Evedon stał przez chwilę w milczeniu, a potem nagle chwycił ją za ramię i przyciągnął bliżej, aby obmacać jej stanik i spódnice.

– Lordzie Evedon! – zaprotestowała i próbowała się wyrwać, ale on ścisnął ją jeszcze mocniej.

– Tak łatwo nie zrezygnuję. Chcę wiedzieć, gdzie je schowałaś.

– Ależ ja ich nie wzięłam! – wykrzyknęła, szamocząc się rozpaczliwie.

Pies nadal czekał na dworze. W domu, jakby do wtóru, rozległy się kobiece krzyki. To stara lady Evedon krzyczała na piętrze.

Rosalind przestała się szarpać, mimo to lord Evedon wciąż ją trzymał.

– Niech mnie pani nie próbuje wystrychnąć na dudka, panno Meadowfield, bo to się pani nie uda. Jeżeli teraz mi pani nie powie, gdzie są szmaragdy, może będzie pani bardziej skłonna do zeznań rano, kiedy przyjdzie tu konstabl.

W domu tymczasem zrobił się ruch. Zza drzwi słychać było podniesione głosy i tupot zbliżających się kroków.

Rosalind poczuła, że uścisk Evedona osłabł na chwilę, i wreszcie zdołała się wyrwać. Poleciała jednak na biurko z takim impetem, że chcąc utrzymać równowagę, uchwyciła się stosu książek i wylądowała wraz z nimi na podłodze. W palcach ścisnęła list, który wysunął się spodzieły pośród stronic.

Lord Evedon zbladł, na jego twarzy odmalowało się przerażenie. A potem gwałtownym ruchem wyrwał jej list z ręki.

W tej chwili ktoś głośno zapukał do drzwi.

– Milordzie! – rozległ się głos lokaja Gravesa.

Evedon szybko wsunął list do kieszeni. Na czole załśniły mu kropelki potu.

– Ogarnij się trochę! – syknął do wstającej Rosalind, która dopiero teraz uświadomiła sobie, że w trakcie szamotaniny rozsypała jej się fryzura, więc znów przykucnęła i zaczęła szukać na podłodze spinek do włosów.

– Milordzie! – powtórzył Graves. – To bardzo pilne.

Lord Evedon błyskawicznie wygładził surdut i kamizelkę, po czym zwrócił się do Rosalind:

– Wstawaj! – Szarpnął ją boleśnie za ramię, nadpru-

wając rękaw sukni. – I ani słowa o tym mojej matce! Rozumiemy się?

Począł, aż kiwnie głową, i dopiero wtedy pozwolił Gravesowi wejść.

– Najmocniej przepraszam, milordzie, ale chodzi o lady Evedon.

– Znowu ma atak?

Graves zakasłał dyskretnie.

– Obawiam się, że tak. Domaga się przy tym panny Meadowfield. – Mówiąc to, nawet nie spojrzał na Rosalind, lecz ona nie potrafiła zapomnieć, że był przy tym, kiedy znaleziono w jej pokoju klejnoty lady Evedon. Przeszukiwał zatem jej rzeczy, włącznie z bielizną, i uważał ją za złodziejkę. Na myśl o tym poczerwieniała z gniewu i upokorzenia.

– W porządku. – Evedon znów odwrócił się do Rosalind. – Niech pani idzie dotrzymać towarzystwa mojej matce, a do tej drugiej sprawy wrócimy rano.

Skinęła głową, świadoma, że zgromadzona za drzwiami służba zobaczy jej potargane włosy i rozpalone policzki, i uzna to za przyznanie się do winy. Gdy wyszła na korytarz, powitały ją potępiające spojrzenia. Chciała zaprzeczyć oskarżeniom, wytłumaczyć, że jest równie zaskoczona jak oni, ale wszyscy odwrócili się od niej. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko pójść na górę za Gravesem. Na karku czuła złowieszczy oddech Evedona.

Kiedy doszli do jej pokoju, lady Evedon już nie krzyczała. Leżała na łożu z baldachimem, wyczerpana. Była drobna i krucha, a jej twarz była nienaturalnie blada.

– Widziałam go. Był tam – zawołała lady Evedon, wskazując na okno.

– Ale kto? – Rosalind popatrzyła w ślad za jej przerażonym spojrzeniem.

– Ten, który mnie ciągle prześladowuje. Nawet na moment nie chce mnie zostawić w spokoju – wyszeptwała starszka. – To nie był żaden dżentelmen. On kłamał... Robert oszukał mnie, a ja mu uwierzyłam.

– Ależ mam – odezwał się lord Evedon – tu nie ma nikogo oprócz ciebie, mnie i panny Meadowfield.

– Jesteś tego pewny?

– Absolutnie pewny. To tylko jeden z tych twoich koszarów. – Z zatroskaną miną nakrył dłonią jej drobną dłoń. – Zaraz pošlę po doktora Spentwortha.

– Nie, nie ma potrzeby. – Lady Evedon pokręciła głową. – Masz rację, to był zły sen, nic więcej.

– Wobec tego wezwiemy go rano, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

– Doskonale rozumiem, co masz na myśli, Charlesie. Uważasz, że tracę rozum!

– Ależ ja niczego takiego nie sugeruję, mam. Martwię się tylko o twoje zdrowie.

– Oczywiście, że tak. – Lady Evedon pokiwała głową, bez większego przekonania. – Jestem po prostu zmęczona, a ten pies obudził mnie swoim wściekłym ujadaniem – powiedziała, całkiem już przytomnie. – Możesz nas spokojnie zostawić. Panna Meadowfield poczyta mi, dopóki nie zasnę. Jej głos koi moje stargane nerwy. – Z nikłym uśmiechem odwróciła się do Rosalind. – Wydajesz mi się blada, moja droga. Źle się czujesz?

– Ja... – zaczęła Rosalind, ale ciężki wzrok lorda Evedona sprawił, że zamknęła usta. Miał rację, pomyślała z trwogą. Nie mogła powiedzieć lady, będącej w tym stanie ducha, o fałszywych oskarżeniach i całej reszcie.

– Nie, wszystko w porządku, milady.

– Oto twoja lektura. – Evedon wziął książkę z nocnego stolika i wręczył ją matce.

Lady Evedon uśmiechnęła się.

– Dziękuję ci, mój kochany.

– Zostawię Stevensa za drzwiami, żeby mieć pewność, że jesteście bezpieczne. – Evedon rzucił Rosalind ostrzegawcze spojrzenie.

– Będę rada, wiedząc, że jesteśmy pod tak dobrą opieką – powiedziała lady Evedon.

– Dobranoc, mamó... panno Meadowfield. – Lord Evedon skłonił się i wyszedł.

– Proszę, panno Meadowfield. – Staruszka podała Rosalind tomik wierszy Wordswortha\*.

– Milady. – Rosalind lekko drżały ręce, gdy otwierała książkę w skórzanej oprawie.

Zaczęła czytać spokojnym, pogodnym tonem i skończyła dopiero wtedy, gdy staruszka usnęła. Pozostała jednak przy jej łóżku, słuchając jej cichego pochrapywania. Myśli kłębiły jej się w głowie, a ręce, choć zdrętwiałe z zimna, były wilgotne od potu. Z chwilą przyjscia konstabla odkrycie prawdy, że żadna Rosalind Meadowfield nie istnieje, będzie już tylko kwestią czasu. Kradzież wartościowych przedmiotów, należących do pracodawcy, uchodziła za ciężkie przestępstwo, nie będzie więc mogła liczyć na łagodny wyrok, zwłaszcza kiedy odkryją jej prawdziwe nazwisko. Czeką ją więzienie. Deportacja. A może nawet szubienica! Na myśl o tym zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły jej się w ciało.

Przypomniała sobie gniew lorda Evedona, jego brutal-

---

\* William Wordsworth (1770–1850) angielski poeta uważany za prekursora romantyzmu w literaturze angielskiej(przyp. tłum.).

ną rewizję i bolesny uścisk. To oczywiste, że miał o niej jak najgorsze zdanie. Uważał, że zawiodła zaufanie jego matki, latami okradała ją, a teraz nie chce oddać szmaragdów. Oskarżenie to zabolalo ją podwójnie, bo nie tylko była niewinna, ale i szczerze przywiązana do lady Evedon. Zdążyła przy tym poznać Charlesa Evedona na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie puści płazem żadnej zdrady. Dyskretne zwolnienie ze służby nie było w jego stylu. Już jej powiedział, że zamierza wezwać konstabla. Dopilnuje, by sprawiedliwości stało się zadość. Chce ją posłać za kraty, lecz kiedy prawda wyjdzie na jaw, czeka ją szubienica. Co za przerażającą perspektywą!

Rosalind zacisnęła kurczowo powieki. Wciąż miała przed oczyma jedwabną pętlę, dyndającą nad biurkiem lorda Evedona. Czyżby ktoś poznał już jej tajemnicę? A może to tylko ostrzeżenie, że taki los spotyka złodziei?

Gdy odkładała książkę na leżący na stoliku nocnym najnowszy numer *Timesa*, jej wzrok padł na drobne ogłoszenie w prawym górnym rogu. Czytała je już wcześniej. Och, jak bardzo chciałaby być teraz w Szkocji, na wrzosiwiskach, z dala od lorda Evedona i narastającego wokół niej chaosu. Niestety, to tylko pobożne życzenie...

Wstała i skierowała się ku drzwiom, by wrócić do swojego skromnego pokoiku, którego prywatność tak brutalnie pogwałcono. Na myśl o tym, że służba wraz z Gravesem przeszukiwała jej osobiste rzeczy, włącznie z bielizną, poczuła się głęboko upokorzona.

Na dywanie pod drzwiami leżał jakiś papier. Kremowy i lekko pognieciony, odcinał się wyraźnie od purpurowo-błękitnego desenia. Od razu się domyśliła, że to list, który znalazła wśród książek i który wyrwano jej z taką furią. Musiał wypaść Evedonowi z kieszeni.

Gdy go podnosiła, sztywny papier zaszeleścił. Jej palce namacały rozłamaną woskową pieczęć. List był zaadresowany dużym, zamaszystym pismem do hrabiego Evedona w Evedon House, na Cavendish Square w Londynie. W normalnych okolicznościach Rosalind nigdy by nie przyszło do głowy, aby czytać cudzą korespondencję, jednak tego wieczoru nic nie było normalne. Otworzyła list i zaczęła go czytać w nikłym blasku dogasających świec.

Lady Evedon wciąż cicho pochrapywała, lecz Rosalind już tego nie słyszała. Przeczytała list raz, potem drugi, i wtedy zrozumiała, co było powodem gniewu lorda Evedona, nie mówiąc już o strachu. Te kilka zdań, o których świat miał się nigdy nie dowiedzieć. Garść słów, które mogły go pogрузić tak, jak on mógł pogрузić ją.

Składając kartkę, wiedziała już, że klamka zapadła. Nie mogła po prostu odłożyć listu na podłogę i udawać, że go nie zauważyła, bo jeśli go później znajdą, lord Evedon domysli się, że go czytała. Nie chciała także ryzykować, że ktoś jeszcze pozna jego treść, gdyż w grę wchodziło dobre imię lady Evedon.

Nagle zaświtała jej myśl, że gdyby Evedon wiedział, że ona ma ten list, nie wezwałby konstabla. Ani nikogo. Nie mógł przecież dopuścić do ujawnienia kompromitującej prawdy. Stąd ten wyraz desperacji na jego twarzy.

Spojrzała raz jeszcze na gazetę na stoliku nocnym. Po krótkim namyśle wiedziała już, co robić. Oddała kawałek pierwszej strony, złożyła go w mały kwadrat i schowała do kieszeni, a potem włożyła tam również list.

Na koniec rzuciła jeszcze okiem na lady Evedon. Staryzka spała spokojnie, chociaż na chwilę wolna od prze-

śladujących ją demonów. Rosalind omiotła wzrokiem pokój, po czym podeszła cicho do drzwi.

Stevens odprowadził ją do jej pokoiku na tyłach domu. Przez całą drogę nie odezwał się do niej ani słowem, a ona była nawet z tego zadowolona.

Nie wiedziała, czy przykazano mu pilnować jej z obawy, aby nie umknęła sprawiedliwości, przed której obliczem chciał ją postawić Evedon. Zresztą mogą sobie trzymać straż pod jej drzwiami przez całą noc, to i tak bez znaczenia, skoro okno jej pokoju wychodzi wprost na dach kuchennej przybudówki. Nagle spłynął na nią dziwny spokój. A jednak gdy pakowała swój skromny dobytek i zarzucała na ramiona pelerynę, ręce wciąż jej się trzęsły. Ostrożnie podsunęła do góry dolne skrzydło okna, starając się nie robić przy tym hałasu, po czym wciągnęła w płuca spory haust chłodnego, wilgotnego powietrza, a wraz z nim obietnicę wolności.

Nawet nie rzuciła pożegnального spojrzenia na swój pokój z wąskim łóżkiem i pustym kominkiem, lecz wbiła wzrok w ciemne niebo, po którym wędrował księżyc. Jeszcze jeden głęboki oddech – i wysunęła się przez otwarte okno, zeskoczyła na dach przybudówki, a z niego na podwórze wybrukowane kocimi łbami.

Zółte światło ulicznych latarni rozpraszało mrok. Rosalind zerknęła nerwowo na Evedon House. Pies przestał wreszcie czekać i nic już nie mąciło nocnej ciszy. Była jedyną żywą istotą na wymarłych ulicach.

Nie ścigały jej żadne kroki, nie czuła na plecach niczyjego oddechu, a mimo to nie mogła pozbyć się uczucia, że Evedon idzie za nią, że jest śledzona.

Nie oglądając się już więcej za siebie, puściła się biegiem przez miasto.

W sąsiednim zaułku jakiś mężczyzna w czerni czekał, aż biegnąca kobieta go minie, po czym wyszedł ze swojej kryjówki i patrzył w ślad za nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Dopiero wtedy odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, mijając te same latarnie, obok których przed chwilą przebiegała. Ich światło wydobyło z mroku jego złoty kolczyk, a potem równe, białe zęby, kiedy się uśmiechnął.

– Możesz sobie biec, ile sił w nogach, moja droga Rosalind Meadowfield – wyszeptał – ale i tak nie umkniesz przed skandalem. Sprawiedliwości stanie się zadość. – Przesunął kapelusz na bakier i pogwizdując, skręcił za róg ulicy, gdzie czekał na niego czarny powóz. Wskoczył do środka, pojazd ruszył. Już po chwili wtopili się w ciemność spowijającą uśpioną metropolię.

## Rozdział pierwszy

*Munnoch Moor, Szkocja, dwa tygodnie później*

Noc była zimna i ciemna, słyszać było wycie wiatru. Jakiś człowiek, ukryty wśród drzew, obserwował podwórze pobliskiego zajazdu. Całą jego uwagę pochłaniał dyliżans pocztowy, który właśnie się zatrzymał. Kiedy podsunięto schodki i otworzono drzwi, wyteżył wzrok, jak myśliwy wypatrujący zwierzyny, a gdy ze środka wyłoniła się samotna kobieta, uśmiechnął się. Wiedział już, że dopadł swoją ofiarę.

Dyliżans odjechał z turkotem w nocną ciemność, zostawiając Rosalind na podwórzu zajazdu w Blairadie. Była sama, jeśli nie liczyć chłopaka, który wyszedł na chwilę po worek z pocztą, po czym zniknął w głębi domu. Latarnie kołysały się na wietrze, ich roztańczone światło wydobywało z mroku szare mury. Godzina była tak późna, że z zajazdu nie dobiegały już żadne odgłosy, a w oknach nie paliły się światła. Gdzieś w oddali, na kościelnej wieży, zegar wybił północ.

Rosalind rozglądała się niepewnie. Z rosnącym niepokojem wypatrywała człowieka, który miał ją zawieźć do nowego pracodawcy. Nie wiedziała, co robić, czy nadal czekać na dworze, czy może raczej wejść do środka.

– Panna Meadowfield? – Głos, który nagle rozległ się za jej plecami, należał do mężczyzny, ale jego akcent nie przypominał tego, który słyszała przez ostatnie dni w Edynburgu. Tak mówią ludzie w Yorkshire, pomyślała.

Odwróciła się, lekko przestraszona.

Przy wejściu na podwórze stał wysoki mężczyzna w długim ciemnym płaszczu. Twarz miał ukrytą pod szerokim rondem kapelusza. W całej jego postaci było coś tak mrocznego i złowieszczonego, że mimowolnie zadrżała i oddech uwiązł jej w gardle. Czyżby jej trudy poszły na marne i Evedon dopadł ją mimo wszystko? Rozsądek wziął jednak górę i wytłumaczyła sobie, że to ktoś, kto miał ją odebrać sprzed zajazdu.

– Jest pan z Benmore House? Od pana Stewarta? – zapytała.

Nieznajomy skinął głową.

– Tak. Przyjechałem po nową gospodynię.

– Och, to dobrze. – A więc była już prawie na miejscu. Już tylko kilka mil dzieli ją od nowego życia, jakie miała zacząć pod dachem pana Stewarta, prowadząc mu dom w Munnoch Moor, na szkockich wrzosowiskach – z dala od Londynu i lorda Evedona.

– Pani pozwoli? – Wysłaniec wziął z jej rąk torbę podróżną.

– Dziękuję.

– Musimy już jechać – powiedział.

– Oczywiście – przytaknęła, ruszając za nim.

Gdy wyszli na drogę, w blasku księżyca zobaczyła jednokonnny wózek, ledwie widoczny na tle czarnego lasu. Trzeba przyznać, że trochę ją to zdziwiło, gdyż spodziewała się raczej bryczki.

Mężczyzna, który po nią przyjechał, był wysoki i dłu-